

## PRZEGRAĆ, ABY WYGRAĆ

Wiosną 1974 roku Polski Związek Alpinizmu otrzymał pismo z sekcji alpinistycznej Klubu „Miechnat” w Taszkencie, w którym Wadim Elczibiekow, prezes sekcji, zapraszał grupę polskich alpinistów do wspólnego zdobywania, latem tego roku, dwóch szczytów w Pamirze: Piku Kommunizma (7495 m – najwyższego szczytu ZSRR) oraz Piku Eugenii Korzeniewskiej (7105 m).

Na tę wyprawę wyjechało nas siedmioro: Ewa Czarniecka-Marczak z Warszawy, Danuta Gellner-Wach z Katowic, Janusz Onyszkiewicz i Krzysztof Zdzirowiecki z Warszawy, Janusz Mączka z Krakowa, Roman Bebak z Wrocławia i ja. Z uzbeckimi uczestnikami wyprawy spotkaliśmy się 10 lipca w Taszkencie.

Do Dżirgitalu – punktu startowego niemal wszystkich wypraw w rejon Piku Kommunizma – przybyliśmy z niewielkim opóźnieniem, spowodowanym awarią samochodu. Po paru dniach wyczekiwania na pogodę 18 lipca przylecieliśmy helikopterem do bazy na lodowcu Moskwinia. Baza, założona wcześniej przez Uzbeków, leży na wysokości około 3900 metrów. Lodowiec w pobliżu bazy jest twardy, bez szczelin, przykryty płaszczem kamieni. Jesteśmy między najwyższymi szczytami Pamiru. Czuję się osaczona tymi wielkimi, ponad 3000-metrowymi urwiskami, zamykającymi nas niczym w pułapce. Po raz pierwszy odczuwam coś w rodzaju klaustrofobii. Chcę uciec z bazy wyżej, na szczyty. Góry zagradzają drogę, przeszkadzają. Nie lubię ich. Odpląć mi za to później.

Baza jest tylko dla nas. Nie tak, jak baza na lodowcu Fortambek, od zachodniej strony Piku Kommunizma. Tam jedna grupa przyjeżdża, druga wyjeżdża, naukowcy prowadzą stale badania nad fizjologią zwierząt. Z białymi myszkami i świnkami morskimi w plecakach kursują między bazą a Wielkim Pamirskim Plateau (6000 m). Jesteśmy z dala od tego wiru.

Wadim Elczibiekow jest kierownikiem całej wyprawy, Janusz Onyszkiewicz – grupy polskiej, a ja – zespołu kobiecego. Mimo obiecywanej wcześniej pełnej samodzielności zespołu polskiego teraz Wadim nie bardzo się na to zgadza. Wspólnie z Januszem musimy wyklócać się o nasze prawa. Nasi chłopcy chcieli wejść nową drogą lub powtórzyć jakąś bardzo trudną trasę na Pik Kommunizma, my natomiast zamierzałyśmy wejść klasycznymi drogami na oba szczyty.

Wadim dla swej licznej grupy ma własne plany. Najważniejszy z nich to przejście granią od Piku Kommunizma do Piku Eugenii Korzeniewskiej. To przejście zamierzał zgłosić do alpinistycznych mistrzostw kraju. Federacja Alpinizmu ZSRR co roku ocenia dokonane przejścia – czy to wspinaczkowe, czy wysokościowe – i najlepszym przyznaje pierwszeństwo. Wadim chciał je zdobyć. Dlatego wołał nie dekoncentrować się opieką nad Polakami, do której – jako gospodarz – czuł się zobowiązany. O zespole kobiecym nie chciał nawet słyszeć, wymyślał różne preteksty, by wymigać się od wyrażenia zgody. Twierdził, że będąc w składzie ekipy radzieckiej, podlegamy ich przepisom, a wspinac się w zespole trzyosobowym na szczyt siedmiotysięczny według tych przepisów *nie*lizia.

Nasz plan został uratowany dzięki „Śnieżnej Panterze”, która przyleciała do bazy helikopterem. Była to radziecka alpinistka, która weszła na wszystkie cztery siedmiotysięczniki Pamiru. Za takie osiągnięcie otrzymuje się odznaczenie *Śnieżnyj Bars*. Gdyby nie jej poparcie, pewnie byśmy pokornie pomaszzerowały do góry w wielkiej, uzbecko-polskiej grupie.

Mimo że z Wadimem od czasu do czasu „darliśmy koty”, znajdowaliśmy wspólny język i lubiliśmy się. Wadim to niezwykle barwna postać i wielka indywidualność. Z pochodzenia Ormianin, pełen sprytu, chytryści i dowcipu. Znakomicie przystawał do naszych wyobrażeń o ludziach Wschodu. Na jego wyprawie panowały niemalże feudalne zależności, ale nikomu nie ciążyły, chociaż skład jej był wielonarodowościowy – Uzbecy, Kirgizi, Tatarzy, Rosjanie i Polacy. Był to skład bardzo sprawny organizacyjnie, w którym wszystkie kółka kręciły się zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Ale na większych wysokościach, w rozrzedzonym powietrzu, z dała od Wadima, kółka kręciły się gorzej. Do działania bowiem potrzebna była własna, silna motywacja.

Przebywanie w bazie to przyjemność. Życie toczyło się uregulowanym trybem, nawet pory wspólnych posiłków były stałe. Jedzenie – nie tylko z konserw; helikopter zaopatrywał bazę w ziemniaki, kapustę, marchew, cebulę, a nawet

w śledzie. Przyleciały też nim dwie żywe krowy. Nasi radzieccy koledzy potrafili wszystko – zarznąć krowę, poćwiartować, potem część mięsa przechować w naturalnej lodówce, szczelinie lodowca, część zaś wysuszyć na słońcu. Potrafili też upolować świstaka, zdjąć z niego futerko i wyprawić je. Czuliśmy się przy nich jak mieszczuchy. Kiedy poproszono nas o pomoc przy zarznięciu drugiej krowy, wybór padł na Janusza Mączkę. Biorąc nóż do ręki, miał w oczach wyraz paniki, w końcu niechlubnie zrejterował z miejsca kaźni.

Świeże jedzenie pozwala uniknąć zaburzeń pracy żołądka i wątroby, wynikłych z niedoboru tlenu i stresowych sytuacji. Wprowadza też nastrój domu i miłej codzienności, kiedy to na wysokości 4000 metrów można zjeść świeży *borsz*, czyli zupę jarzynową wzbogaconą mięsem i ostrymi przyprawami.

Pierwszego dnia w bazie czułam lekki ból głowy i niechęć do wysiłku fizycznego. Organizm, mimo że wcześniej byłam dwukrotnie powyżej 7000 metrów, nie przystosował się jeszcze do nagłych zmian wysokości, nie nadążał z adaptacją do niższego ciśnienia. Musiał mieć czas, by wytworzyć dodatkowe czerwone krwinki, niemal podwoić ich liczbę. Jeszcze nie wiem o tym, że moja aklimatyzacja będzie bardzo utrudniona, a szybkie wyjście do góry może doprowadzić do katastrofy. Przyczyna? Mam silną anemię, znaczny niedobór hemoglobiny. Ale o tym dowiem się później.

Mimo złego samopoczucia pracuję przy rozstawianiu namiotu. Kilofem wyrabuję kamienie, łopataą czyszczę teren z lodu. Mamy własne namioty, przywiezione z Polski. Danka, Janusz i ja śpimy w „Warcie 4”, Ewa i pozostała trójka chłopców – w dużym, 8-osobowym namiocie. Ewa unikała ostentacji. Zespół kobiecy – poza działalnością w górach – w bazie nie musi przebywać wyłącznie ze sobą. Wydaje mi się, że większość dziewcząt, które podejmowały próby przejść kobiecych lub przechodziły drogi w zespołach kobiecych, starała się odjąć temu charakter ostentacji. I dobrze. Jesteśmy tu jedną wyprawą, a więc nie wyodrębniamy się specjalnie.

Po uzyskaniu zgody Wadima na działalność zespołu kobiecego stanęłam przed koniecznością opracowania planu działania. Dotychczas byłam tylko jednym z wykonawców planów opracowanych przez innych. Wydawało mi się to proste – rozłożyć wszystkie wyjścia w czasie, zaplanować, gdzie i w jaki sposób przeprowadzić aklimatyzację, pomyśleć o sprzęcie i żywności. Praca ta poszła mi gładko, ale nie uniknęłam potknięć.

Wybrałyśmy Pik Czetyrioch (około 6400 m) jako cel aklimatyzacyjny. Potem wrócimy do bazy na trzydniowy odpoczynek. Po nim wejdziemy w stylu alpejskim, bez zakładania obozów pośrednich, na Pik Eugenii Korzeniewskiej. Znow kilka dni odpoczynku w bazie, nim zmierzmy się z Pikiem Kommunizma. Taki był plan w ogólnych zarysach.

Nasi koledzy w celach aklimatyzacyjnych wybrali wejście na Pik Worobiowa (5718 m) i mieli schodzić na naszą stronę Piku Czetyrioch.

Zajęta przygotowaniem wejścia aklimatyzacyjnego, zbagatelizowałam jedną sprawę – jak podejść pod Pik Czetyrioch? Ponieważ przed nami kursowali na tej drodze Uzbegy, sądziłam, że znajdziemy ich ślady. I popełniłam błąd. Śladów nie znalazłyśmy. Podchodziliśmy od niewłaściwej strony lodowca, płacząc się w serakach, pokonując trudne uskoki i wspinając się stromymi, kruchymi zboczami. Zajęło to tyle czasu, że tego dnia nie udało się nam dotrzeć nawet do podnóż szczytu.

Następnego dnia okazało się, że to ostatni dzień pogody. Straciliśmy czas na błędzenie. We mgle i śnieżycy niepodobieństwem było wchodzenie na szczyt. Trudno, rozstawiłyśmy namiot i postanowiłyśmy zaczekać na kolegów, którzy tego dnia mieli schodzić z Piku Worobiowa. Aby we mgle nie błędzili na nieznanym lodowcu, wychodzimy im naprzeciw. Bez kompasu, bo w przeciwieństwie do alpinistów radzieckich nie mamy zwyczaju używania go. Kierunek wybieramy intuicyjnie. Niekiedy, na chwilę tylko, wiatr rozczerpnął mgłę i wtedy możemy skorygować drogę podejścia. Wreszcie usłyszałyśmy głosy kolegów, ale dopiero w odległości około 50 metrów zaczęły wyłaniać się z mgły ich sylwetki. Po naszych śladach zeszlśmy wszyscy razem do namiotu. Dalej, dzięki przypadkowo spotkanej grupie Rosjan wracających z grani, już bez błędzenia zeszlśmy do bazy.

Krzysztof czuł się bardzo kiepsko. Był przeziębiony, prawdopodobnie miał anginę. Schodził bardzo powoli. Wszyscy, z wyjątkiem Onyszka i mnie, pobiegli do przodu. My konwojowaliśmy osłabłego Krzysztofa. W bazie Janusz objechał „szybkobiegaczy”, że nie zatroszczyli się o chorego kolegę...

Zastanawiałam się nad tym wiele razy. Jak to się dzieje, że w górach, gdzie każdego alpinistę obowiązuje pewien kodeks etyczny, zdarzają się jednak sytuacje z nim niezgodne, takie na przykład, jak pozostawienie osłabionego partnera? Może to dlatego, że przywykliśmy do niebezpieczeństwa i do tego, że sami mu-

simy się z nim uporać. Nie tylko ja, ale mój partner również. Nie zawsze dostrzegamy, w którym momencie nasza pomoc jest naprawdę potrzebna. Nieraz zwlekamy, by nie ingerować w czyjeś przeżycia, dać mu możliwość satysfakcji samodzielnego pokonania trudności i niebezpieczeństw.

Jeden z najlepszych operatorów górskich, Anglik Leo Dickinson, obok alpinizmu zajmujący się lotniarstwem, narciarstwem, nurkowaniem, uprawiający prawie wszystkie niebezpieczne sporty, nakręcił film z zimowego przejścia północnej ściany Matterhornu. Jest tam scena, która szczególnie utkwiła mi w pamięci – trójka alpinistów podchodzi pod ścianę, czwarty, Leo, filmuje.

Znam ten teren – bardzo strome podejście, niebezpieczne, narażone na lawiny. Sama w tym miejscu spadłam z małą lawinką śnieżną. Przypomnienie własnych przeżyć znajduję w kolejnych kadrach filmu. Jeden z podchodzących, ogarnięty olbrzymią lawiną pyłową, osuwa się wraz z nią. Widać wyraźnie, jak go kotłuje. Jego partnerzy przystanąli i patrzą w dół. Leo nie przerywa filmowania. Zmieciony lawiną alpinista w końcu zatrzymuje się. Usiłuje wstać, wstaje, otrzepuje się, sprawdza, czy nic mu się nie stało. Podnosi czekan i macha nim w kierunku tych na górze – wszystko w porządku! Uspokojeni ruszają dalej, nie czekając, aż partner dojdzie do nich. Nie zważają na fakt, że ten uspokajający gest jest być może pozorny, a ich towarzysz może się znajdować w stanie szoku, w którym nie czuje się, na przykład, bólu złamanej nogi, i próbuje się wspinać dalej.

Tym razem rzeczywiście wszystko okazało się w porządku. Ale analizując zachowanie dwójki alpinistów, można przypuścić, że nie było ono spowodowane obojętnością. To raczej, jak już wspomniałam, niechęć do ingerencji w czyjeś przeżycia, w prawo do przeżyć niebezpiecznych, w prawo do ryzyka i strachu. Pomoc powinna być udzielona tylko wówczas, gdy ktoś o nią prosi, albo kiedy wyraźnie widać, że jest potrzebna.

Ten mechanizm obserwowałam bardzo często w górach i wierzę, że nie jest to egoizm ani obojętność na los drugiego człowieka. Góry kształtują bardzo silną więź między wspinającymi się partnerami, uczą solidarności. Ale przy wyższym stopniu umiejętności występuje pewne zobojętnienie na los partnera i niebezpieczeństwo. Stajemy się trochę zadufani we własne siły i wierzymy, że każdy z tych dobrych da sobie radę. Niebezpieczeństwo chcemy pokonywać wspólnie, ale zostawiamy każdemu jakby pewną strefę indywidualną na przeżywanie go. Bo każdy tego trochę potrzebuje – samotności w działaniu i przeżywaniu, zda-

wania egzaminu górskiego tylko przed sobą. Najłatwiej przychodzi to na wyprawach. W dużym, kilkunastoosobowym zespole nie sposób myśleć o każdym uczestniku wyprawy, nie sposób interesować się poczynaniami każdego z nich. Ograniczamy się do kilku osób, które lubimy. Nie wszyscy znajdą się w kręgu zainteresowania, a i my możemy znaleźć się poza uwagą innych. Wówczas łatwo przegapić moment, kiedy jeden drugiemu powinien przyjść z pomocą.

Z Krzysztofem, którego lubimy, tak się nie stało.

Podobna sytuacja powtórzyła się kilkanaście dni później. Tym razem Danka pozostaje z tyłu przy zejściu z Piku Kommunizma, mimo że na szczyt prawie wbiegła. Teraz wlecze się ostatnia. Po Krzysztofie można było poznać, że jest chory, okazywał to ostentacyjnie. Danka natomiast mało komunikuje się z zespołem, nie skarży się, tylko na rozległym, firnowym Wielkim Plateau porusza się wolniej niż inni. Zresztą ci inni również mają już dość.

Wszyscy są po akcji na Piku Kommunizma, pod wrażeniem śmierci Ewy i po transporcie jej ciała na przełęcz między Pikiem Duszanbe a Pikiem Kommunizma, gdzie na wysokości prawie 7000 metrów została pochowana. Są wyczerpani długim przebywaniem na tej wysokości, nadmiernym wysiłkiem fizycznym, niewyspaniem i niejedzeniem. Jeden z kolegów zwicznął staw skokowy. Zespół właściwie jest w rozsypce.

Wreszcie ktoś zauważa brak Danki i czeka na nią. Gdy po dłuższym czasie dochodzi, zostaje zwymyślana – że nie idzie ze wszystkimi. Nikt nie pyta, czy może źle się czuje, czy nie należy jej pomóc? Danka załamuje się. Prosi o radiotelefon. Potrzebuje oparcia, chce usłyszeć parę ciepłych słów, chce rozmawiać ze mną.

W tym czasie jestem w bazie. Rozżalona, mówi rzeczy, których nie powinna mówić. Po powrocie do bazy, a nawet później, już w kraju, będzie to roztrząsane. Ale rozmowa pomogła jej zebrać się. Danka zresztą z natury jest twarda i odporna na agresję.

Wiele razy zastanawiałam się nad tym wydarzeniem. Czy był to tylko epizod, nieważny w gruncie rzeczy, wynikły z deterioracji i wyczerpania, poczucia zagrożenia w trudnej sytuacji, kiedy słownictwo mało przypomina salonowe, a formy zwracania się do siebie stają się agresywniejsze? Ta agresja w górach to wynik zagrożenia, podświadoma samoobrona. Poprzez utrzymanie się w takim nastroju człowiek czuje się przygotowany do zmagania z niebezpieczeństwem albo też roz-

ładowuje zbyt silne napięcie. Ale agresja rozproszona na wszystko dookoła nie rozładowuje. Dopiero skupiona na kimś lub na czymś daje tę możliwość. Ten ktoś to w podświadomości umowny sprawca zagrożenia, niepewności. Tępienie i gnębienie go to odwet.

W każdym zbiorowisku ludzi zagrożonych zostanie wyznaczony kozioł ofiarny. Zostaje nim ktoś najbardziej różniący się od pozostałych, co nie znaczy, że gorszy. To niemalże atawizm, jak dziobanie przez stado ptaka o innym upierzeniu. Dlaczego ofiarą tego atawistycznego zachowania padła właśnie Danka?

**cdn.**

**Na dalszą część rozdziału *PRZEGRAC*, *ABY WYGRAC* oraz kolejne fragmenty książki zapraszamy za tydzień.**